

tyńska taka czysta karczma, rzadkością. Nie dziw tedy, że tyńska karczma była sławna. Lecz oprócz tej zalety miała także jeszcze i inną, miała czysty pokój gościnny i czyste jadlo dla gości.

Na gościncu kurz się podniósł; słyhać turkot wozu. Pewnie goście jacyś jadą. A była to niedziela. Słońce czerwcowe, letnie, gorące już zeszło z południa, ale jeszcze dość dopiekało. Niebo jasne, błkitne bez chmur, jak sklepienie kościelne spokojnie wznosiło się nad ziemią. Kurz na gościncu otaczał jadących, ale najmniejszy wiaterek nie odwiewał go od bryczki. Jechali w pyłę, gdy odjechali pył osiadał na miejscu.

Bryczka stanęła przed karczmą. Obok woźnicy siedział austriacki żandarm, w siedzeniu drugi obok młodzieńca, liczącego mniej więcej lat dwadzieścia i dwa. Żandarm z kozła wyskoczył, zlął i woźnica, by dać koniom popaść. Młodzieniec się podniósł i także zlął z bryczki.

— Muszę się trochę posilić, bo również, jak konie i ja jestem głodny. Pilnujcież mię dobrze, abym wam nie uciekł i moi panowie.

— Już my pana całego oddamy panu staroście, rzekł jeden z asystencyi, uderzając w kolbę karabinu, aż bagniet zabrzęczał. Zwróciwszy się zaś do stojącego na progu szynkarza: Osobny pokój! zawołał.

Weszli do sieni. W otwartych drzwiach szynkowni stoi mnóstwo wieśniaków, ciekawie poglądając na przybyłych. Dla nich to rzecz nie nowa. Podczas powstania ostatniego mieli dość widowisk, tego rodzaju, ale zawsze ciekawi, choć się już z tem oswoił. Młodego jeńca zaprowadzili stróże niebezpieczeństwa do wskazanego pokoiku. Wieśniacy wrócili do stołów.

— Taż to nasz panicz, ozwał się wreszcie gajowy.

— Ja go tu nie raz widziałem, potakiwał stary wieśniak.

— I ja go w kościele widywałem z pannami tyńskimi, to taki ich krewny być musi, rzekł drugi.

— Ej krewny to nie jest, poprawiał gajowy, ale on tam u nich jak w domu, to pan Bolesław. Młody kręcił się koło panien, nawet stary go bardzo lubi, ale cóż nie ma pieniędzy, to z tego nic nie będzie, daremnie się tylko tumani.

Ciekaw też jestem, za co go to aresztowali, zapytał inny?

— Jak to, za co? Za nic, mówił gajowy. Wybuchło powstanie, nasi panowie chcą wypędzić Moskalą, aby nam ziemi nie plugawili. Daj to Boże doczekać pomyślnego skutku. Święta sprawa i pan Bolesław poszedł od pierwszego razu, chociaż widziecie, tak kocha tyńską panienkę. Człowiek, gdyby młodszy, ale szła! i ściany mają uszy!

— Wy starzy Grzegorz, to was trzeba słuchać, rzekł wieśniak do gajowego. Myo wiemy, że wy trzymacie z Polakami i może to dobrze będzie gdy tego Moskala wypędzą z Polski, ale po co ztąd iść aż za granicę? Gdy mię biją to i ja nie daruję, lecz co mi do tego, że kogoś biją.

— Oj kumie Stachu, muszę wam na to odpowiedzieć. Gdy was biją to was boli, a nie boli was, gdy biją waszego brata, albo bliskiego krewniaka? A nie staniecie za swoim tak, jakby o waszą własną skórę chodziło. Bo wasz brat to jedna krew. A ten brat może mieszkać za miedzą, a przeto bratem być nieprzestaje, i ziemia za miedzą ta sama, nasza, święta! Widzicie Moskal gniecie naszych braci. wydziera im ma-

jatki, rabuje kościoły, zaprowadza gwałtem wiarę moskiewską. Każe bić pierwej pokłony przed carem niż przed Bogiem. Widzicie, a my to mamy cierpieć. Gdybym ja miał syna! Daj nam Boże doczekać się lepszych czasów!

— Daj Boże dobrze tym, co nam dobrze radzą, odrzekł w tej chwili przekonany włościanin.

Przez ścianę tylko siedzi przyaresztowany najuczciwszy człowiek, a tu tyłu także uczciwych, ale nie oświeconych, nie czują krzywdy wyrządzonej jemu. Nie pojmują krzywdy wyrządzonej sobie. Lud polski, wszak jednego z nich uwięzili niewinnie, a on taki potężny, gromada, wielki człowiek, milezy.

Tymczasem Bolesław dostał posiłek od karczmarza i zasiadłszy do stołu, prosił także swoich stróżów, by z nim usiedli.

— Jedźcie panowie, musicie być głodni ale nważajcie dobrze, abym nie uciekł.

— Dziękujemy, my nie głodni odrzekł żandarm.

— Jak myślicie. Jeżeli panowie jeść nie będziecie — to karczmarz zarobi, bo już ma zapłacone za wszystko. Proszę panów siadajcie, na koszt mię nie narazicie, jadlo nie zatrute. Proszę, powtarzał Bolesław.

Na stole stała taka dobra kawa, takim białym kożuszkiem uśmiechała się do żandarmów, że musieli się rozgrzeszyć. Jeden na drugiego spojrzał, porozumieli się widać oczyma i usiedli przy stole zwieszając na ramieniu karabinki.

— My tu razem u stołu bardzo zgodnie wyglądamy mówił swobodnie więzień, i któż by sądził że jestem waszym niewolnikiem?

Żandarmi znowu popatrzyli po sobie. Bolesław mówił dalej: Moje przytrzymanie nie powinno was długo cieszyć. Jestem z tej okolicy, znają mię tu wszędzie, dla tego jeżdżę bez paszportu. Nawet tu w karczmie muszą być włościanie z Tyna, tam mam krewnych. Ale jak chcecie, tak róbcie. Pan starosta w Grodach zna mię także, nieraz był u nas na kartach.

— Niech i tak będzie, rzekł jeden z żandarmów, my przecie pana uwolnić nie możemy. Mamy ostry nakaz każdego aresztować, kto nie ma paszportu.

— Ja panów nie proszę, abyście mię uwolnili, mówię tylko tak sobie. Dzisiaj Austria jest przeciw nam, to nas każe więzić, a gdy się zmieni polityka, co bardzo być może, co wtenczas będzie?

— My sługi, nam zawsze słuchać potrzeba. Nam każą my robimy, rzekł żandarm.

— Przecie to jest ubliżające dla człowieka rozumnego, rzucać się na nieznanego, niewinnego bliźniego, który nikogo nie krzywdzi.

— Nam tego słuchać nie wolno. My słudzy cesarscy.

Kawę już dopijali. Bolesław zadzwonił lyżeczką. Wszedł oberzysta.

— Trzy razy jajecznicę!

— Ależ czas, fuknął żandarm.

— Tylko przedziatko, bo my czasu nie mamy, kończył Bolesław.

— A daliście tam piwa memu słuzącemu?

— Dam zaraz, jeżeli pan każe.